11. października Nr. 23. Rok 1860.

CZYTELNIA
dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1., 11. i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt., półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

Lutnia wajdeloty.

Powiastka fantastyczna z czasów krzyżackich zaborów;

przez A. Z. D.

Ciężko spadła na pruskie i litewskie plemiona żelazna dłoń krzyżacka. Aż po tamtą Niemna stronę dotarła groza ich oręża a popłoch przed ich imieniem obijał się o mury litewskich książąt w Wilnie.

Chytra tłuszcza niemiecka z znamieniem Chrystusa na piersiach a zdradą Judasza w sercu, z każdym dniem rosła w potęgę, i zaborczą rękę wyciągała nie tylko po Litwę całą, ale i po dalsze Polski ziemice.

Nie było już Olgierda i Kiejstuta ramienia, aby powstrzymywać ich nacisk przemożny, a młody Jagiełło w chwiejnym jeszcze ręku dzierżył znamię świeżo odzyskanej władzy.

Po tamtej stronie Niemna, gdzie już krzyż zatknięty w ziemię, świadczył o dokonanym podboju, i zamiast kotwicy nadziei zwiastował godło ciemięstwa i ciężkiej niedoli, rozsiadł się na szerokich obszarach ziemi butny komtur krzyżacki. Mnogi lud skazany jest słuchać ślepo jego rozkazów, ulegać w pokorze najwybredniejszym zachceniom jego woli, a daleko wzdłuż i wszerz rozciąga się groza jego imienia.

Za ciasno mu jednak w szczupłym litewskim grodzie, gdzie go zaprowadziła pomyślność oręża. Dumnemu komturowi zachciewa się pysznego zamku a dość ma władzy w ręku, aby dogodzić swemu zachceniu. Ze wszystkich stron garnie lud podbity, na barkach każe mu znosić kamienie, ich łzami, krwią i znojem wiąże mury do murów.

I nie wiele ubiegło czasu a w przepysznej dolinie, poświęconej niedawno jednej z dobroczynnych bogiń litewskich, wspiął się aż pod obłoki zamek wspaniały. Snać krwawe łzy robotników przydały mu blasku i ozdoby, bo wspanialszy od najpiękniejszych świątyń zdumiewa oczy swym widokiem.

Skończyły się już wszystkie roboty, stanęły silne bramy i wrzeciądze, zaludniły się komnaty i podwórza. Komtur z licznym tłumem sług, przyjaciół i domowników, zjechał na swe nowe mieszkanie a pierwszą noc jego pobytu w świeżych murach ma uświęcić uczta wspaniała.

Z najdalszych okolic nadciągnęli komtury i rycerze z hufcami zbrojnych knechtów i sług, a szczęki oręża, brzęki kielichów i czar, wesołe gwary i śmiechy łamią się głośnem echem o pobliskie góry, wystraszają żubrów i niedźwiedzi z nór niedalekich lasów.

Raczy i weseli się swawolna zgraja, jednego im tylko niedostaje, usz ich nie łechcą tony muzyki, któremi bostwo przemawia do serc sprawiedliwych.

I nagle komtur srogi pięścią uderzy o stół i gromowym głosem zwoła na sługi:

— Hej wesołych tonów nam potrzeba, bez muzyki nie płynie swobodnie zabawa. Jeśli za godzinę nie chcecie wszyscy sterczeć na palu, to niech wesołe dźwięki lutni przymięszają się do naszych śmiechów i kielichów brzęku.

Pobladła i struchlała sług zgraja, jak sfora psów gończych rozpuszczona na zwierza, rozbiegła się duchem spełnić pańskie rozkazy.

. . . .

Tam pod ciemnym borem stoi niska chata litewska, w niej blade miga światełko. W posępnej świetlicy siedzi starzec zgrzybiały, na jego kolanach spoczywa cicho gęśl srebrnostruna.

Starzec nie patrzy na nią, strumień łez gorętszych od żaru płomieni płynie po jego wywiędłych jagodach, przymglone oczy z smutkiem i rozpaczą spoglądają w jeden kąt izby, gdzie na nędznem posłaniu spoczywa trup małej jasnowłosej dziewczynki...

Biedny wajdelota nie wypłakał jeszcze wszystkich łez sercowych nad nieszczęściem ojczyzny, a podobało się bogom ugodzić weń zaraz nowym okropnym ciosem. Jego wnuczka urodziwa, jedyna pociecha i osłoda dni zgrzybiałych, na zawsze zamknęła powieki...

Samotny staruszek płacze i jęczy z głębi serca a smutkowi jego wtorują i święte węże domowe, co przyczołgały się aż do stóp jego i ponuro pochyliły głowy.

Wtem z łoskotem roztwierają się drzwi spróchniałe a do przybytku smutku i boleści wpada swawolna, pijana zgraja, bezlitośni słudzy okrutnego pana.

— Jesteś — wrzasnął zaraz dziki ich przewódzca. — Bierz twoją lutnię i ruszaj za nami, jeśli nie chcesz wisieć na pierwszej gałęzi albo sterczeć na palu.

Wzdrygnął się starzec i przestraszonem okiem patrzy na dzikich napastników, a tuż zaraz dwóch chwyta go za ramię, sam przewódzca grabi gęśl srebrnostruną i wrzeszczy dzikim głosem:

— Dalej starcze do zamku, tam czekają na głupie tony i śpiewy twoje, za mną żywo.

Nim się jeszcze może opamiętać sędziwy wajdelota już srodzy wysłańcy wywlekli go z chaty. Napróżno jęczy i błaga, by go nie odrywano od trupa dziecięcia, któremu według litewskich zwyczajów chciał nazajutrz przysposobić stos pogrzebny.

Dzikim śmiechem wybuchła służalców zgraja.

— O stos ci chodzi, wykrzyknął przewódzca — zaraz go będziesz miał...

Wybuchł jeszcze głośniejszym śmiechem szatańskim i płonącą pochodnię przyłożył do niskiej strzechy chaty.

Starzec jęknął głucho. W jednej chwili chata jego stanęła w płomieniach.

— Dalej, dalej — wrzasnęła zgraja i powlokła go za sobą. . . . .

Na zamku w ucztowej komnacie ucichła na chwilę szalona wrzawa. Komtur i goście słuchają muzyki i śpiewu litewskiego wajdeloty.

Starca serce pęka z bolu. On, co dotąd opiewał jedynie ojczyzny chwałę i litewskich bogów cześć, musi tonami świętej swej lutni wtórować rozpuście wyuzdanej. Wprawna jego ręka biega po srebrnych strunach lutni, z piersi płynie niby wesoły śpiew. A jednakowoż posmutnieli czegoś pijani rozpustą rycerze i komtury, tony te ołowianym jakimś ciężarem padają na ich serca strętwiałe, bo stokroć wyraźniej nad te udane dźwięki wesołe przebija się w nich jakaś gorąca modlitwa rozpaczy.

— Bogowie ojczyzny mojej — błaga starzec nieszczęśliwy — skarzcie tę swawolę! Perunie gromowłady rusz twym grotem ognistym!

— Przestań ty puszczyku stary — zagrzmiał komtur — tony twoje kłamią wesołość, a wioną grobowem powietrzem. Nastrój inaczej lutnię swoją jeśli niechcesz, żebym ci twe plugawe serce kazał wyjąć z pod żebra.

I po tych słowach pochwycił za kielich i na chwilę przytłumiony gwar rozległ się na nowo.

Stary wajdelota upuścił lutnię z rąk i siwą głowę zwiesił na piersiach. Nie chciał kazić oczu swoich patrząc na wyuzdaną rozpustę ciemiężców ojczyzny.

Wtem w pośród najgwałtowniejszego huku i gwaru zabrzmiał mu pod samem uchem jakiś głos miękki i słodki nad wszelki wyraz.

Starzec wstrząsł się jak w febrze.

Był to głos jego wnuczki zgasłej.

Obejrzał się na około zdziwiony i przerażony, a o kilka kroków obaczył malutką ptaszynę z złocistemi piórkami i białym jak śnieg dzióbkiem.

Złotopióry ptaszek krążył widocznie w około sędziwego starca, a z jego dzióbka rozwartego wymykały się słowa jakby tony jakiejś arfy nadziemskiej:

— Pójdź za mną! Pójdź za mną!

Zdumiony starzec zerwał się jakby jakąś nadprzyrodzoną pociągnięty siłą i sam nie wiedząc co robi pospieszył za głosem ptaszka.

Złotopióry przewodnik prowadził go przez jakąś komnatę uboczną a następnie przez długie ciemne krużganki, przeświecając mu skrzydełkami swemi jakby pochodnią żarzącą.

Od chwili do chwili siwobrody wajdelota zdaje się przychodzić do siebie i zatrzymuje się przerażony, ale wtedy ptaszek zatrzepie skrzydełkami i zawoła znowu:

— Pójdź za mną! Pójdź za mną!

Porwany czarodziejską siłą tego głosu lubego bieży starzec posłuszny jak dziecię, a ptaszyna leci coraz dalej i przez krużganki, podwórzec i małą furtkę otwartą prowadzi go na otwarte pole.

Powiew świeżego powietrza zdawał się rozwiewać ułudę starca, bo przystanął nagle i przetarł oczy, jakby się gwałtem chciał pozbyć tego widziadła dziwnego; ale tu znowu ozwie się nieprzełamanego uroku głos ptaszyny:

— Pójdź za mną! Pójdź za mną!

Słucha staruszek bez dalszego oporu i mknie przez pola i pagórki za lotem ptaszka, który z swemi złocistemi piórkami wyglądał jak drobna gwiazda migocąca w przestworzu powietrza.

Za szybki to jednak bieg na nadwątlone starca siły. Biedny wajdelota czuje, że mu tchu już brakuje w piersiach, że nogi uginają się w kolanach a strugi potu oblewają mu skronie i czoło; ale ptaszyna nie wstrzymuje lotu, obejrzy się tylko od chwili do chwili; powtórzy swoje pójdź za mną! pójdź za mną! i z nieprzełamaną mocą pociąga za sobą starca.

Aż też po długim utrudzającym biegu wydrapał się starzec znużony i zziajany na szczyt małego pagórka, a tu już do reszty opuściły go siły. Padł jak długi na ziemię i silił się przyjść do przerwanego oddechu.

Złotopióry ptaszek krążył chwilkę jeszcze koło niego, potem strzepnął skrzydełkami, wydał jakiś głos miły jakby na pożegnanie i furknął bez śladu.

Bezsilny starzec wyciągnął ręce za odlatującym jakby go chciał powstrzymać przemocą, ale niebawem przestał się już migać blask jego złocistych piórek w powietrzu.

Teraz dopiero ochłonął starzec zupełnie z swego omamienia i dreszcz go przeszedł na samą myśl, że w zamku spostrzegli już może jego ubytek i wysłali pogoń za nim. Niemniej przestraszyło go i to spostrzeżenie, że swą lutnię drogą, tę jedyną drużkę resztek chwil życia, zostawił w zamku.

Zerwał się prędko na równe nogi, aby co tchu wrócić do zamku i choćby kosztem życia, połączyć się z swą lutnią kochaną.

W tej chwili, osłonięty dotąd chmurami księżyc wydobył się w całej pełni na wierzch i całą ziemię oblał swém bladem, melancholijném światłem.

Siwobrody wajdelota zwrócił się ku zamkowi i nagle wydał wykrzyk przestrachu i zdumienia i stanął jak wryty....

Nie było ani śladu, gdzie przed chwilą pyszny wznosił się zamek....

Cały obręb zamkowy, aż po ów pagórek, na którym stał wajdelota, zalewało wielkie sinowode jezioro...

Srebrzysty księżyc kąpał się w jego tle przejrzestem, a starcowi się zdało, że na samym dnie w dalekiej, dalekiej głębi widzi walące się gruzy zamku - słyszy z wewnątrz okropne głosy zgrozy i rozpaczy.

Krótką chwilkę tylko trwało to przewidzenie wnet znikły te gruzy z dna i przygłuchły te przerażające głosy z głębi... Pozostało tylko czyste, gładkie, spokojne tło jeziora, osrebrzone promieniami księżyca.

Starzec przeciera sobie oczy, ale zjawisko to nie ustępuje, owszem przedstawia się w najjawniejszej rzeczywistości. Na wpół nieżywy z przerażenia powodził starzec okiem po przejrzystym obszarze jeziora i nagle nowy wydał wykrzyk...

Samym środkiem jeziora wprost ku niemu mknęła na lekkiej fali, jakby jakimś niewidzialnym posuwana tchnieniem, jego lutnia zapomniana...

Jedyny czysty i nieskalany przedmiot w tem gnieździe ohydy i rozpusty, wzniesionem ludzką krzywdą, ludzką krwią i łzami — lutnia litewskiego wajdeloty uszła nienaruszona z strasznej chwili zagłady...

Płynęła lekko prostym szlakiem ku swemu długoletniemu druhowi, a struny jej, potrącane srebrnemi falami, wydawały jakieś przecudne niebiańskie tony, zwiastujące, że na przyszłość z wszelkiej zagłady ocaleje nienaruszone słowo narodowe, a wyroki sprawiedliwości spadną nieuchonnie na zaborców i ciemiężców ojczyzny!

Na początku roku szkolnego.

Znów upłynął w toń wieczności
Jeden rok!
Przesłonięty mgłą przyszłości
I okwity w zdarzeń krocie,
Już drugi staje na progu —
To oddajmy pokłon Bogu,
Ku nauce i ku cnocie
Wstecz ostatni rzućmy wzrok.

O tam ciemno!... bo w tym roku
Nie wiem czyśmy lepsi byli
Czyśmy wyszli z chwałą,
Żeglując w życia morzu, czyśmy ster dzierżyli,
Czy dotrzymaliśmy kroku,
Gdy boży grom lśnił w oku,
A w piersi, gdy nam boże natchnienie zagrało

O bracia! młodość nasza piękna jako wiosna,
Kiedy zielona szata doliny odzieje,
Kiedy niebo błękitne i pogoda jasna
Błogie obudza nadzieje!
Ale biada! gdy groźny północnym podmuchem
Wicher wyszumi słowo powszechnej zagłady,
I mróz zmrozi plon przyszły i wytłuką grady.

O bracia! bądźmy czyści i podniośli duchem
Jako to niebo jasne, cisi jak pogoda;
I zieleni nadzieją — głębocy jak woda,
Co spokojna osiadła w łożysku jeziora;

Przed nami świat otwarty; przeszło ciemne wczoraj,
Pogodne jutro wdzięki nam swoje odsłania,
A Bóg serc naszych patrzy, i wygląda plonów.
Które kiedyś nieść mamy....

Toż strzeżmy ognia Westy w tę porę zarania,
Pilnujmy pracy ducha — krzepmy go światłością,
Rozprzestrzeńmy miłością rodzinnych zagonów,
Rozświećmy dziejów naszych świetnemi obrzaski,
Pochwyćmy cierpienia wieków w piersi naszych bramy —
Stańmy silni jednością,
Wysocy pokorą, wytrwali miłością,
Tryskający ożywczą strugą bożej łaski!

Bo czas pracy.... bo już przyłożone
Żelaza do pnia drzewa, toż czuwajmy mili,
Byśmy od drzewa żywota odcięci nie byli
Ku spaleniu jak martwy. przebutwiały parość....
By nie rzekł Bóg: „Tam młodych — ducha gniecie starość,
Odejmę od nich berło, wezmę światło moje.
Dam innym, kędy goreć będzie nieskażone!" —

O ojcze! weź nam wszystko! weź słodycz żywota!
Tysiączne na nas dopuszczaj cierpienia;
Wszelkiego od nas żądaj poświęcenia;
Wszystko damy, lecz niech nam pozostanie cnota
I siła Twa i światło Twoje!...

Lwów dnia 21. września 1860

Wincenty S.....

SAMUEL KORECKI.

(Opowiadanie historyczne.)

(Ciąg dalszy).

V.

Ziemia odgraniczona od południa Dunajem, od północy Dniestrem, przypierająca na wschód do morza Czarnego a na zachód do łańcucha Karpat siedmiogrodzkich, obfitująca w zboże, owoce, miody i woły, bogata w kruszec złoty i srebrny, nosi miano Wołoszczyzny i już około roku 1330 dzieliła się na dwie części t. j. Wołoszczyznę właściwą i bliższe Polsce Multany. Obie te części zaludnione około roku 1290 przez plemiona wołoskie i inne, które słowiańskich krajowców tamtejszych wyparły lub nad niemi zaczęły panować, zostawały od najdawniejszych czasów pod wpływem Polski, a od wzniesienia i utrwalenia potęgi muzułmańskiej w Europie często miały do czynienia z Turkami, broniąc się ich zaborczej chciwości.

*

Dwór władców wołoskich sprawiał się po słowiańsku i długo język ruski cerkiewny dowodził przewagi żywiołu słowiańskiego w kraju, a hospodarowie wiedząc, że posiadają słowiańskie ziemie, uznawali zwierzchność królestwa polskiego. Częste spory o następstwo rozstrzygał nieraz oręż polski i nieraz wygnani przez Turków hospodarowie w królestwie szukali przytułku i u stóp tronu polskiego wzywali pomocy. Niemniej też Polacy starali się utrzymać na Wołoszczyznie swój wpływ uważając tę ziemię za dzielne przedmurze przeciw potędze tureckiego państwa, które już Grecyę, Tracyę, Bułgaryę i Serbię było pochłonęło. Ale zwady między hospodarami, niestały umysł narodu, przechylającego się w różne strony, nawet na stronę Turków, ułatwiały zabory otomańskiej Porcie a położenie Polski coraz trudniejszem czyniły.

Gdyby Polska znała lub chciała znać politykę reszty Europy, której zasad na sobie samej poźniej doznała, nie omieszkałaby była korzystać z rozprężenia wewnętrznego państwa, by je pozbawić samoistności i niepodległości; ale Polacy nadto dobrze znali i szanowali, nawet w polityce, prawa cudzej własności i wolności: więc nie tylko nigdy nie zagrażali autonomii wołoskiego hospodarstwa, lecz owszem, wszelkiemi sposobami starali się utrzymać ją i zachować.

Pierwszy Kazimierz Wielki całą Wołoszczyznę jak hołdowniczą pod swoją wziął opiekę. I od tej chwili powaga królów polskich hamowała zapędy Turków: Kazimierz Jagiellończyk upominał sułtana Mahometa, aby się nie mięszał do rządów hospodarstwa. Za Zygmunta I. zawarł sułtan Soliman stałe przymierze z Polską, przyrzekając, że hospodar wołoski zawsze będzie chrześcianinem, sprzyjającym obu państwom i pod ich wspólną zostający opieką. Odtąd książęta wołoscy następowali prawem dziedzictwa za potwierdzeniem sułtana i króla, płacąc Porcie daninę a królowi polskiemu składając hołd i dary.

Takie przyjazne stosunki Polski, z Turcyą zapewniające pokój Wołoszczyznie, dotrwały aż do czasów króla Stefana. Pod panowaniem Zygmunta III., kiedy w rządach mniej było powagi i rozwagi; kiedy prawo i zakazy często szły w poniewierkę, zerwały ten sojusz zuchwałe najazdy Kozaków, podżeganych przez sąsiednich mocarzów, i prywatne wyprawy magnatów, sprowadzając na Wołoszczyznę i Polskę zbierającą się już oddawna burzę.

Już w pierwszych latach panowania Zygmunta Wazy powstał wielki zamęt w tych krajach przez intrygi domu Rakuskiego i przez wyniosły zamysł Zygmunta Batorego, wzywającego hospodarów Michała i Arona do wybicia się zpod tureckiego jarzma. Jan Zamojski, uspokoiwszy Turków, przywiódł znowu do porządku sprawy wołoskie i w r. 1596 Jeremiego Mohyłę hospodarem naznaczył, pod następującemi warunkami: „Ażeby wysłał do króla z prośbą o dobrodziejstwo, ażeby obok greckiej wiary i rzymska kwitnęła; że gdyby związkowi panów chrześciańskich szczęśliwie wojnę zakończyć przyszło, Wołoszczyzna do królestwa polskiego należeć będzie; Mohile król dobra wyznaczy, on zaś w prowincyi innego pierwszeństwa używać nie będzie nad te, jakiego używają wojewodowie w Polsce; gdyby zaś pokój miał z Portą nienaruszonym pozostać. on Wołoszczyznę tym sposobem miał trzymać, jakim ją przeszli wojewodowie dzierzyli; zawsze jednak wierności i poddaństwa królowi polskiemu dochować miał.“

W krwawych poźniej sporach z Michałem wspierał oręż polski Mohyłów rodzinę i powtórnie rządy państwa w ich ręce oddał. Po śmierci Jeremiego wstąpił na hospodarstwo, za przyzwoleniem króla, syn jego starszy Konstanty. Ten niezapłaciwszy Porcie haraczu ściągnął na się Stefana Tomżę, który z podjudzenia Turków i za pomocą Tatarów Multany najechał i Konstantego wygnał. Kiedy posłowie polscy przez polubowną ugodę zadośćuczynienie starali się otrzymać, niecierpliwy Stefan Potocki, pojąwszy za żonę Maryę Mohylankę, siostrę Konstantego, umyślił sam państwo szwagrowi odzyskać i bez pozwolenia króla, zebrawszy wojsko od możniejszych na pograniczu obywateli i złączywszy je z zaciągami szwagrów swych Konstantego i Aleksandra, w początkach sierpnia 1612 do Multan wkroczył. Ale nic nie wskórawszy, zniszczył marnie 6000 wojska, ogołocił z obrony Podole i Wołyń, które też niezwłocznie Tatarzy napadli, mieczem i ogniem pustosząc, a sam z wielu innymi do niewoli tureckiej był wzięty.

Ta klęska Stefana Potockiego nie odstraszyła przecież innych od naśladowania go, bo skoro znowu Piotr Mohyła w roku 1616 przez Turków zrzucony został, wpadają krewni jego Samuel Korecki i Michał Wiszniowiecki do Multan i w długą z Turki wdają się wojnę, nie pomnąc na to, że stanęło na sejmie prawo zakazujące pod najsurowszemi karami, napastować prywatnym granice tureckiego państwa.

VI.

Dowództwo w tej wyprawie powierzono księciu Samuelowi Koreckiemu acz był najmłodszy wiekiem ze wszystkich, ale znany był już wówczas z dzielności i odwagi. W początku też wiodło się szczęśliwie; Turcy zostali pobici i Tomża z Wołoszczyzny wyparty.

Acz dyplomatyczne stosunki z Turcyą Zygmunta III, niedozwalały mu otwarcie oświadczyć się za Mohyłą, zdaje się jednak, że dwór milczeniem przyzwalał na tę wyprawę, a dobre życzenia z Polski towarzyszyły toczącej się wojnie z Portą Ottomańską. Okazują to widocznie listy od Kryskiego kanclerza koronnego do wojewody multańskiego i do księcia Samuela pod ten czas pisane. w których czytamy [10]): „Pocieszna o szczę-

[10]) Kilka listów od różnych osób, między innemi i od matki księcia Samuela, do Koreckiego w czasie jego pierwszej wyprawy na Wołoszczyznę pisanych, ogłosił Wł. Syrokomla częścią w całości, częścią w wyjątkach, w przyczynkach do historyi domowej w Polsce. Wilno 1858.

śliwej imprezie wołoskiej wielce nas ucieszyła była nowina: radowaliśmy się niepomału, że pan Bóg dyrygował i szczęścił zamysły i usiłowania Waszej Hospodarskiej Mości.“ A w innym liście do Koreckiego: „Czekamy sami dalszych o sprawie tej wiadomości, życzymy jednogłośnie szczęśliwego progresu i skutku.“

Było jednak i stronnictwo nieprzyjaźne wyprawie obu książąt: Adam Sieniawski, podczaszy koronny i przyjaciel Samuela *donosił mu dnia 22. lipca 1616 z Międzyborza: To tylko nie tajno* jest wiadomości mojej, że zwykły pożar ludzi nieprzyjaźnych, na zepsowanie zawziętych spraw i odważnych dzieł W. K. Mości zajuszonych, dotychczas ugasić się nie może; którzy jako się nasadzili opacznie te tłumaczyć rzeczy i one ze wszech miar tępić, w nieodmiennej trwają nieżyczliwości.“

Ale odgłos zwycięztw jednał księciu sławę, wzbudzał podziwienie i przygłuszał niechętne odezwy a serce matki Samuela, Anny z Chodkiewiczów Koreckiej, napełniał radością niemałą i dziękowała Bogu poważna matrona „że jej dał doczekać takowej uciechy z dziatek swoich, którzy nie ujmują przodkom swoim i wszystkiemu domowi swemu sławy, ale więcej jej przymnażają.“ Prześliczne są te listy obywatelki i matki; maluje się w nich charakter prawdziwie spartański a przytem rzewna czułość i troskliwość macierzyńskiego serca. Nie możemy nie polecić, szczególniej czytelnikom naszym, zbiorku Wł. Syrokomli, (o którym w przypisku wspomnieliśmy) gdzie znajdą owe listy matki Polki, tak różne od naszych dzisiejszych zniewieściałych czułostkowości, jak różny od naszego był ówczesny sposób wychowania i życia.

Obok życzeń szczerych przyjaciół, obok radości i trosków kochającej matki, obudzała sława oręża księcia Samuela i inne jeszcze, zupełnie od tych odmienne, uczucia i pragnienia. Ksiądz pleban z Korca, Jędrzej Krajewski, winszując księciu szczęsnych powodzeń i porównawszy go z Dawidem, który srogiego pokonał Goliata, tak zakończył swój list: „Ja przytem także będąc najniższym sługą i bogomodlcą W. K. Mości przy kościele Koreckim, proszę abyś W. K. Mość raczył być łaskaw na kościół i na mię sługę jego; gdyż miewam często kapłany, którzy ze mną pospołu za W. K. Mość Boga proszą. Przeto proszę uniżenie, gdyż drogie wino w Korcu i skąpo go, racz W. K. Mość kazać mi dać w Korcu baryłkę wina a na gospodarstwo parę wołów, a ja za dobre zdrowie i szczęśliwe powodzenie W. K. Mości tak jakem zaczął Pana Boga prosić będę.“ Nie wiemy jak książę przyjął tę bezinteresowną ofiarę księdza plebana i czy zaspokoił pobożne jego chęci; to tylko pewna, że modły owego bogomodlcy nie zostały wysłuchane w niebie: bo szala szczęścia wkrótce na inną przechyliła się stronę a ślepa fortuna opuściła mężnych Polaków.

Książę Wiszniowiecki, gorączką i trudami wojennemi zwątlony, życie zakończył a cały ciężar wojenny zwalił się odtąd na samego księcia Samuela. Książę jak w początkach tak i teraz „okazał się mądrym hetmanem i odważnym żołnierzem“; pobiwszy i wygnawszy Tomżę, mnóstwo zamków nieprzyjacielowi odebrał i w dziewiętnastu zwycięzkich potyczkach „więcej niż sto tysięcy Turków, Tatarów i Wołoszy trupem na placu położył“. Ale nareszcie w roku 1617 oblęgło go wojsko tureckie pod Baszami Skingirem i Ibrahimem w Jassach. Naszli oni zdradą księcia, widząc bowiem nieprzełamanego i ciężkiego sobie Koreckiego, nie mogąc go pokonać siłą do zdrady się udali. Wysłali legacyę obiecując, że Mohyłom wołoskie hospodarstwo przywrócić gotowi, byle książę broń złożył i wojsko rozpuścił. Samuel ubezpieczony przymierzem uczynił tak, co spostrzegłszy obaj baszowie dokoła go opasali. Wtedy Kozacy, którzy przy księciu byli, pierzchnęli i unikając jasyru przebijali się przez chmury pogaństwa. Książę tylko w 800 ludzi pozostał.

Chociaż Turków i Tatarów do dwóchkroćstotysięcy miasto oblęgało, nie stracił jednak książę serca i mając sobie za hańbę bez bitwy z pola schodzić, mężnie do ostatnich sił bronić się postanowił. Od soboty aż do środy bronił się tedy w okopach zamknięty i czterdzieści tysięcy nieprzyjaciół poraził. Gdy Turcy z wielkich dział, których Polacy nie mieli, ciągle ognia dając tabor rozerwali i Tatarzy do obozu wciskać się już zaczęli, a żołnierzom i prochu nie stało i sił już ubyło, zrzucił książę świetną zbroję i przywdziawszy ubior prostego żołnierza, aby się mógł bezpiecznie utaić, sam się przez cztery godziny z nieprzyjacielem ścina. Basza chcąc go żywo poimać, wysłał doń Polaka pewnego przedstawiając mu żeby się dobrowolnie poddał. Ten przyszedłszy do księcia wzywał go i zaklinał temi słowy: „Mężu serdeczny! miłuj swoje zdrowie: straciłeś mężnych towarzyszów, nie trać sam żywota: włos ci z głowy nie spadnie, ani uronisz swojej nieśmiertelnej cnoty!“

Korecki spojrzawszy na garstkę swoich niedobitków i na najeżone działa wrogów, zdjęty litością, by nie gubić marnie tej reszty mężnych wojowników, zsiadł z konia i rzucił z gniewem i rozpaczą swoją szablę pod nogi baszy. Bezbronnego pochwycili Turcy i związawszy wzięli w niewolę. Po raz ostatni rozległ się odgłos bębnów husarskich, ale nie była to już pobudka do boju, lecz raczej marsz pogrzebowy, który wkrótce przygłuszył dziki wrząsk pogańczej tłuszczy, biorącej w jasyr dzielne roty ich mężnego wodza, który niegdyś „gdzie przyszedł, ujrzał i wnet wygrał wojnę“ a dziś zdradzony i poimany, miał zdobić tryumf wrogów.

Dumni z takiej zdobyczy i ucieszeni takiem szczęśliwym zakończeniem uciążliwej wojny, ciągnęli baszowie do stolicy. Tam gdy się wieść o poimaniu zaciętego wroga Porty rozeszła, wyległo wszystko co żyło w mieście, chcąc oglądać męża, który był postrachem pogan, a nawet sam sułtan i dostojnicy dworu wyruszyli naprzeciw. Tak niby w tryumfie jechał na tu-

reckim rumaku jeniec polski w owe miasto, co było źródłem klęsk dla całej owoczesnej Europy, i przyśpiewywał sobie na cześć zmiennej fortunie.

Stawiony przed sułtanem i zapytany z czyjejby namowy lub rozkazu przeciw niemu wojował? odparł dumnie książę: „samem się z własnej woli swojej nie z czyjego ordynansu mścił włości, z których wyzułeś Piotra hospodara“. Widząc sułtan, że ma do czynienia z nieprzełamanym i nieustraszonym mężem, i pragnąc tak mężnego wodza dla siebie pozyskać, starał się go ująć sobie łaską i względami. Snać nie znał co to cnota i honor polskiego rycerza, „ofiarował mu więc w wojsku swojem najwyższe rządy, na dworze cesarskim najwyższe honory, byle się był wyprzysiągł imienia chrześciańskiego, a do mahometańskiej wiary przystąpił. „Nie dał się jednak książę ułudzić obietnicami i łaską sułtana: bo wolny człowiek i prawy obywatel, woli dźwigać żelazne kajdany a zostać wiernym wierze i ojczyźnie, niż przyjąć z ręki wroga łańcuch złoty i dostojeństwa i stać się przeniewiercą i zdrajcą. Odrzucił więc ze wzgardą i obrzydzeniem ofiarowane sobie honory, a rozgniewany sułtan kazał go wtrącić do wieży, leżącej nad Bosforem, zwanej Jedykuła, gdzie Turcy jeńców wojennych, od których mogli spodziewać się okupu, pod silną chowali strażą.

Choć z rozdartem sercem ale zawsze nieugięty szedł książę do owej ponurej siedziby nieszczęśliwych niewolników, z której powrót nie był łatwy i pewny; której mury nie jedna kropla krwi chrześciańskiej splamiła. Ale na wstępie zaraz uczyniwszy Bogu śluby, jeżeli wyjdzie zdrowo, wyrzec się syzmy, kościoł OO. Franciszkanom w Korcu wystawić, i domek Loretański Matki Bożej odwiedzić, odebrał wielką otuchę wolności swojej i pokrzepiony wiarą i nadzieją, już w więzieniu przemyśliwał o zemście na pogańskich wrogach. —

(D. n.)

„Służmy poczciwej sławie, a jako kto może
Ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże.“

Służmy poczciwej sławie — lecz nie schlebiajmy zarozumiałości, pyszalstwu, czczej dumie i namiętnościom gorszącym. — Służmy prawdzie i sprawiedliwości, z miłością i odwagą, a nie zamieniajmy się w służalców z trybularzem w ręku, nie uderzajmy czołem tam, gdzieby je raczej odwrócić należało.

Sur dix hommes il y a neuf laquais ce n'est pas seulement la livrée qui fait le laquai — wyrzekł któryś ze znamienitszych mężów Francyi, i smutną, gorzką, straszną wypowiedział prawdę. Bo ono służalstwo *bez liberyi* — które napotykamy wszędzie, niestety! — jest nędzniejszem od sukni galonem, wypustką, guzikami lub blaszką naznaczonej: lokaj w liberyi częstokroć więcej okaże samodzielności i mniejszym jest pochlebcą, niż taki *bez liberyi* pachołek. Bo ono służalstwo jest nędzniejszem od niewolnictwa — tak, tak, od niewolnictwa! Niewola bywa wciśniona przemocą bolesnych okoliczności — niedolą — sieroctwem — nieszczęściem — a służalstwo salonowe, pokojowe, dworackie, jest dobrowolnem skażeniem charakteru. Widzimy je w potakiwaniu bezustannem, i na myśl nam przychodzi gipsowa figurka chińska, kiwająca głową za lada poruszeniem; w uśmiechu słodziuchnym — w ukłonie głębszym — i w słowie kłamstwem splamionem. Widzimy je, jak sypie wonne kadzidła tam, gdzie we własnem przekonaniu pogardę niesie — a lekceważy tych, którzy nie są w łaskach, chociaż za niemi prawdziwe przymioty, zasługa i cnota przemawiają, by przez to tamtym możniejszym pochlebić. I takie służalstwo zaiste już trąci podłością.

I po cóż ów niski pokłon dla tych, którymi pogardzacie skrycie? Po cóż to serdeczne uściśnienie ręki dla tych, których nazywacie podłymi? Po cóż owe słodkie, pochlebne, przyjazne wyrazy dla tych, których nie kochacie i nie możecie szanować? — Dla czegoż ono dobrowolne służalstwo które w końcu, po pewnej wprawie, po dłuższem nawyknieniu, wreszcie i barwę zupełnej nikczemności przyjąć gotowe? Bo postęp jest we wszystkim — gorzka to ironia! — i do pewnej *perfekcyi* we wszystkim dojść można. Czyliż niedość jest wiadome owo zdanie znanej u nas osobistości: „Podłość jest jak kąpiel gorąca, gdy w nią wchodzisz parzy, lecz posiedziawszy nieco, to z niej i wyjść niechce się potem.“

Ono *bez liberyi* lokajstwo wynika częstokroć — wypowiedzmy to dla honoru społeczeństwa naszego — przez *jakąś* słabość wrodzoną i brak samodzielności poczucia; przez lękliwość, by na siebie niechętnego nie ściągnąć spojrzenia; przez względność niewłaściwie pojętą i zastosowaną: bo taka względność, to chwast niepożyteczny na niwie życzliwości prawdziwej, — i dopiero przez różne, przeważne stopnie samolubnych dążąc widoków, do upodlenia przychodzi.

I czyliż to nie każdy na takiem poznaje się służalstwie? Czyliż nie każdy przygani mu w duchu i podług tego charakter osoby osądzi? — Ale, dodajmy znowu i niestety! nie jeden potępi to w drugich, a w następnej już chwili sam w podobniuteńki błąd popadnie — nie zastanowiwszy się bynajmniej co czyni — albo też i przypuszcza, że tego drudzy nie widzą.

Niepotrzeba wręcz i jawnie okazywać niechęci swojej, braku szacunku i pogardy — ale pocoż się maskować i przywdziewać *liberyę ducha* — że się tak wyrażę: — zamieniać się niecnie w pachołka.

Bądźmy względnymi i nie rańmy bezpotrzebnie okazem lekceważenia — lecz nie płaszczmy się.

Bądźmy pobłażliwymi na ułomności ludzkie — lecz nie hołdujmy tam, gdzieby raczej w miłości chrześciańskiej napomnieć potrzeba.

Podajmy rękę upadłemu i dźwignijmy go ku sobie — ale nie sypmy u stóp jego kadzidła, niby ślepi na niecnotę jego.

Szlachetne serce pobłaża, urazy nie żywi, nienawidzieć nie potrafi — ale pogardzać umie. Tej umiejętności nabywa z czasem — a jest to ze wszystkich najsmutniejsza nauka, pełna bolu i goryczy.

Nie odpychajmy butą i wzgardą, bo przez to ostatecznie cios moralny zadać można — lecz nie pochlebiajmy tam, gdzie raczej potępić potrzeba.

Nasz nieśmiertelny Zygmunt Krasiński powiedział:

„Kto występnym przebacza, ten niewinnych karać będzie.“

W słowach wielkich wieszczów jest proroctwo — wybrańcy to zawsze, więc słuchajmy ich głosu!

+

ROZMAITOŚCI.

— Korespondent z ziemi Michałowskiej do jednego z dzienników polskich taki daje opis uczty Żerkowskiej, odbytej w d. 11. września b. r. na cześć posła W. Niegolewskiego.

„Marszałek uczty p. Edmund Taczanowski podejmował gości. Przeszło 500 osób znajdowało się w pałacu za kartą; byli tam duchowni, szlachta, mieszczanie, włościanie, sołtysi i członkowie rozmaitych deputacyi; tłum ludu zalegał prócz tego dziedziniec i park. Lud pragnął widzieć posła Niegolewskiego i domagał się tego niecierpliwie. Przeszedł więc p. Niegolewski, prowadzony przez gospodarza domu hr. Mycielskiego i z muzyką, przez dziedziniec i przez park; tłumy go witały nieskończonym wiwatem, muzyka grała hymn narodowy. Uczta się zaczęła. Najpierw przemówił do posła Władysława Niegolewskiego, p. Szczaniecki, mąż już sędziwy, ale głosu i serca silnego. Jędrną i prostą mową wykazał zasługę posła Niegolewskiego, że nieszczędząc trudu i ofiar wykrył machinacye, które miały brata na brata obrócić; następnie wręczył mówca posłowi Niegolewskiemu srebrny wieniec zasługi obywatelskiej, a przypomniawszy zasługi śp. Andrzeja Niegolewskiego, ojca Władysława, uniósł i rozczulił całe zgromadzenie. Zadrżały ściany pałacu od grzmiącego ludu na dziedzińcu i w parku. Następnie przystąpiły deputacye kilku powiatów, składając dziękczynne adresy, a po nich deputacye włościan; nareszcie deputacya miasta Żerkowa, które oświadczyło swoję radość, że w jego murach odbywa się uczta narodowa, to jest uczczenie zasług posła Niegolewskiego. Po tem wszystkiem zabrał głos poseł Niegolewski i w mowie pełnej skromności powiedział, że nie ma zasługi, bo pełnił tylko swój obowiązek, a tak samo pełniło swój obowiązek całe kółko polskie. W kółku poselskim, mówił pan Niegolewski, wydzielał prezes kółka p. Potworowski, prace; mnie dostał się wydział skarg i petycyj, który mi dostarczał materyałów do wykrycia wiadomych machinacyj. Po tym wstępie przemówił pięknym zwrotem mowy do duchowieństwa, które się nader licznie zebrało; następnie złożył podziękowanie gospodarzowi domu, hr. Mycielskiemu, i marszałkowi uczty, p. Edwardowi Taczanowskiemu, a gdy przyszło mu nareszcie podziękować panu Szczanieckiemu, koledze ojca swego, zdjęty był rozczuleniem; zebrał się wszakże zaraz i już teraz grzmiącym głosem prowadził mowę dalej, wskazując tór, którym postępować winniśmy, donosząc: że naród silny zachwiać się może, upaść tylko nędzny; że nie należy wyczekiwać od rządu, aby nam dał co nam się należy, jeżeli tego sami żądać nie będziemy; że sam najwyższy dostojnik rządu w W. ks. Poznańskiem do deputacyi polskiej w tej myśli przemówił i domaganie się Polaków o swoje prawa narodowe, szlachetnem nazwał. Po Wielkopolsce wypadało zabrać głos imieniem Prus polskich. Było nas tylko trzech obywateli z Prus. Czułem całą ważność takiego zastępstwa tem bardziej, że pewna okoliczność wkładała na mnie obowiązek zbyt dotkliwej materyi. Otóż niewidząc na uczcie tego i owego pytam się co to znaczy. Powiadają mi, że ten wyjechał, ów zachorował, inni dla odległości nie przybyli, inni znowu z niezadowolnienia, że wieniec zasługi ofiarowany panu Niegolewskiemu miał kształt korony, objaśniono mnie wszakże w końcu, że to są wszystko pozory pokrywające tendencyą pewnej koteryi, która rozmyślnie nie przybyła. Zagotowało się we mnie, pomyślałem nie należę do was, obcy jestem waszym koteryom. Polakiem jestem, niczem więcej, wolno mi zatem, obowiązkiem nawet jest moim, wytknąć złe w waszem łonie. Proszę więc marszałka uczty, aby mi pozwolił zabrać głos imieniem Prus polskich. Przezorny marszałek zwrócił moją uwagę na to, że zgromadzeni włościanie nie rozumieją wyrazu „Prus polskich“, że to brzmienie przykre wrażenie na nich zrobić może. Korzystałem więc z przestrogi marszałka i na samym wstępie objaśniłem włościanom zkąd jestem; powiedziałem im w krótkości historyą naszych ziem i co nas z księstwem łączy. Po takim wstępie mówiłem dalej: Przybyło nas kilku na waszą ucztę niejako w zastępstwie Prus polskich, aby nie tylko uczcić zasługę posła Niegolewskiego, ale zarazem przypomnieć Wielkopolanom, że jesteśmy bracią waszą. Bywało, że uważano nas za stracony posterunek, zajmujemy poniekąd stanowisko straconego posterunku; bo najdłużej i najwięcej, wystawieni jesteśmy na pociski germanizacyi; ale za to z podwójną bacznością strzeżemy naszej polskości, strzeżemy czystości serc polskich, strzeżemy tej ziemi, na której zakopane są graniczne słupy Bolesławowskie. W miarę czystości serc polskich sądzono u nas, że na dzisiejszą ucztę zgromadzą się obywatele całego księstwa, bez wszelkiego rozdwojenia, aby uczcić zasługę, którą cały naród uznał, którą opinia europejska uznała i potwierdziła. Słyszę przecież, że wielu rozmyślnie nie przybyło. Wielkopolanie! bracia wasi z Prus są Polakami i niczem więcej, nierozumieją was i jak ja dziś, tak oni boleścią będą zdjęci, gdy się dowiedzą, że jeszcze i w takim razie rozdwojenie między wami mogło mieć miejsce; gdyby poczciwe Prusy polskie mogły były to przeczuć, niezawodnie mnóstwo zacnych obywateli byłoby razem z nami tu przybyło, aby zakryć tę próżnię przed okiem obcych i oszczędzić boleści narodowi polskiemu. Że się tak nie stało, pragnąłbym przynajmniej, abym mógł w głos mój zebrać głos ośmkroćstotystęcznej ludności polskiej Prus i gromem piorunu, rozlegającego się od słupów Bolesławowskich aż tam, gdzie mowa polska z szumem bałwanów Bałtyku się mięsza, zagrzmieć: niech żyje Niegolewski, poseł pleszewski! Uważałem, że mowa moja zrobiła wrażenie; nawet włościanie przysłali do mnie księdza Tułodzieckiego z oświadczaniem, że chcą mnie bliżej poznać i moje zdrowie wypić. Spełniłem ich życzenie. Po mnie przemówił p. Aleksander Guttry. Dzielność postawy tego męża odpowiada dzielności serca i umysłu i dla tego mowa jego, płynąc z czystego źródła, trafiała do zamierzonego celu. Po nim przemówił ks. regens Kantorski, a w mowie jego odbiło się usposobienie wielkopolskiego duchowieństwa, które pobożność z miłością ojczyzny łączy. Kilku jeszcze innych mówiło, wszyscy frafnie i pięknie, nie było gaduły. Uczta się kończyła. Nic nie przerwało ani nie skalało uroczystości tej pięknej uczty narodowej. Powiadano mi, że naczelny prezes księstwa przysłał sztafetę do Żerkowa z rozkazem, aby policya wcale się nie mięszała do uczty. Temu zaufaniu odpowiedziało zachowanie się zgromadzenia i ludu najzupełniej. Wszystko poszło w swoją stronę, jak gdyby z kościoła wyszli. Około godziny szóstej z południa zajęła dawna cisza pałac i ubogą mieścinę, do domów zabrano z sobą uroczyste uniesienie i piękne wrażenie narodowej uczty“.

Rozmowa Fryderyka wielkiego z Gellertem, r. 1760 w Lipsku, w roku 5tym siedmioletniej wojny.

(Blätter für litterarische Unterhaltung).

W dniu 18 grudnia 1760 r. został Gellert do króla wezwany przez adjutanta *Quintus Icilius*, i następną miał z nim rozmowę:

Król. — Czy on jest professor Gellert?

Gellert. — Tak, najjaśniejszy panie!

Król. — Poseł angielski dużo mi o nim mówił dobrego. Zkądże on jest?

Gellert. — Z Hajnichen pod Frejbergiem.

Król. — Wszakżeż on ma także i brata w Frejbergu?

Gellert. — Tak jest, najjaśniejszy panie.

Król. — Niechżeż on mi powie dla czego w Niemczech dobrych autorów nie mamy?

Quintus Icilius zwrócił uwagę króla, że właśnie jednego ma przed sobą, którego utwory nawet Francuzi przetłómaczyli, nazywając go niemieckim *Lafontaine'm*.

Król. — To wiele znaczy. Czy on czytał *Lafontaine'a*.

Gellert. — Czytałem, najjaśniejszy panie, alem go nie naśladował: pragnę być oryginalnym.

Król. — To więc jeden zdatny jest pisarz. Ale dla czegoż więcej dobrych nie mamy?

Gellert. — Najjaśniejszy pan jesteś uprzedzonym przeciwko Niemcom.

Król. — Do tego się nie przyznaję wcale.

Gellert. — To przynajmniej przeciwko autorom niemieckim.

Król. — Prawda. Ale bo dla czegoż dobrych historyków nie mamy?

Gellert. — Nie zbywa nam i na nich. Mamy przecież Maskowa i Kramera, który pisał ciąg dalszy *Bossuet'a*.

Król. — Czyliż to podobna, ażeby Niemiec był zdołał napisać ciąg dalszy *Bossuet'a*?

Gellert. — Dokonał tego nawet bardzo pomyślnie. Jeden z najuczeńszych professorów waszej kr. mości wyrzekł, że dopełnił tego jeszcze ściślej historycznie i z większą wymową.

Król. — Czy on sam tylko poznał się na tem?

Gellert. — Jest to zarazem i zdanie ogólu.

Król. — Ale dla czegoż nikt nie zabiera się do Tacyta? Tego należałoby się przetłómaczyć.

Gellert. — Tacyt jest trudnym do przetłómaczenia. Wszakżeż i tłómaczenia francuskie są liche.

Król. — To jest prawda.

Gellert. — Zresztą, są i przyczyny dla których Niemcy nie w każdej jeszcze gałęzi literatury odznaczyć się potrafili. Gdy sztuki i nauki kwitły u Greków, Rzymianie jeszcze toczyli wojny. Niemcy przebywają obecnie swoje *saeculum* wojenne. Może im też dotąd zbywało na Augustach i Ludwikach XIVstych.

Król. — Czyliż on chciałby na całe Niemcy jednego mieć Augusta?

Gellert. — Niekoniecznie. Ale pragnę, by każdy z panujących zachęcał geniusze swojego kraju.

Król. — Czy on nie wyjeżdżał nigdy w Saksonii?

Gellert. — Byłem raz w Berlinie.

Król. — Powinienby podróżować.

Gellert. — Do tego zbywa mi na pieniądzach i na zdrowiu, najjaśniejszy panie!

Król. — Jakąż on ma chorobę? Czyli przypadkiem nie *uczoną*?

Gellert. — Skoro ją, najjaśniejszy panie! tak nazwałeś, to i niechżeż i tak będzie: w moich ustach byłoby to zakrawało na zarozumiałość.

Król. — I ja na *uczoną* chorowałem chorobę. Wyleczę go z niej: powinien dnia każdego przejechać się konno, a co tydzień zażyć *Rhabarbarum*.

Gellert. — Taka kuracya stałaby się dla mnie drugą chorobą, najjaśniejszy panie. Gdyby koń był zdrowszym odemnie, to na nim nie mógłbym jechać; a gdyby był jednego ze mną zdrowia, toby mnie nie uniosł.

Król. — To niechaj powozem jeździ.

Gellert. — Na to nie mam dostatecznego majątku.

Król. — Otoż to! Na tym zawsze uczonym zbywa w Niemczech. Złe zapewne teraz czasy?

Gellert. — O, tak, najjaśniejszy panie, i gdyby wasza kr. mość raczyłeś Niemce udarować pokojem...

Król. — Czyż ja to mogę? Czy on nie słyszał o tem, że aż trzech przeciwko mnie jednemu powstało?

Gellert. — Zajmuję się więcej starożytną aniżeli nowoczesną historyą.

Król. — Jakiż jest sąd jego: któryż jest wyższym w epopei, Homer czyli Wirgiliusz?

Gellert. — Podobno że Homer, bo jest oryginalnym.

Król. — Ale Wirgiliusz jest więcej ogładzonym.

Gellert. — Jesteśmy wiekiem za nadto oddaleni od Homera, byśmy o obyczajach tamtych czasów i mowie sądzić mogli. Zdaję się na *Quintiliana* w tej mierze a ten pierwszeństwo Homerowi oddaje.

Król. — Nietrzeba być niewolnikiem sądu wydanego przez starożytnych.

Gellert. — Tym ja nie jestem. Lecz spuszczam się na nich w tem, czego dla zbyt oddalonego wieku sam osądzić nie mogę.

Tutaj odezwał się znowu adjutant, przypominając, że Gellert także i listy drukował.

Król. — Jak to! Czyliż on także pisał przeciwko *stylum curiae*?

Gellert. — Tak jest, najjaśniejszy panie!

Król. — Ale dla czegoż żadna nie następuje zmiana? To istne djabelstwo! Przynoszą mi całe arkusze, a ja słówka nie rozumiem jednego.

Gellert. — Skoro najjaśniejszy panie temu zaradzić nie możesz, to jakżeżbym ja mógł podołać! Umiem tylko radzić gdzie wasza królewska mość rozkazujesz.

Król. — Nie umie tam on której z bajek swoich na pamięć?

Gellert. — Mam pamięć niedobrą, najjaśniejszy panie!

Król. — Niechżeż sobie przypomni którą, a ja tymczasem pochodzę trochę... No, i jakżeż?

Gellert. — Przypomniałem sobie jednę: Malarz — i Gellert wygłosił mu tę bajkę.

Król. — Wcale dobra. Ma on *quelque chose de coulant* w wierszowaniu swojem: ja bo to rozumiem. Ale, ot, czytał mi Gottsched swój przekład *Iphigenii*: miałem przytem i tłómaczenie francuskie pod ręką, a nie zrozumiałem i słowa. Przynieśli mi także poezye jakiegoś Pietscha, i te odrzuciłem na stronę.

Gellert. — Rzuciłem je także, najjaśniejszy panie!

Król. — Jeżeli zabawię tu dłużej, to będzie musiał częściej do mnie przychodzić: przyniesie z sobą swoje bajki i przeczyta mi co nowego.

Gellert. — Nie wiem, czyli potrafię głośno czytać: mówię śpiewająco, akcentem goralskim.

Król. — Tak, jak Szlązacy. No, ależ on sam bajki swoje czytać powinien, bo inaczej nie wydadzą się tak dobrze. Niechżeż on niezadługo znowu do mnie przyjdzie.

Nazajutrz wyraził się król przy stole o Gellercie, w obec Francuzów swoich i kilku oficerów: *cest le plus raisonable de tous les Allemands.* — Jednakżeż sławny bajkopisarz już więcej nie postał u króla: nie został wezwanym a sam narzucać się nie chciał.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.